ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela sierpnia 5 1934 r.** **Nr. 32**

Alfred Jesionowski

Szkoda, że nie całą...

Do pokaźnej już kolekcji tomów reportaży piór przeważnie kobiecych przybywa jeszcze jeden, nazwany powieścią — reportażem. Mimo wyraźnego zaznaczenia tego przez autora, stwierdzamy zgóry, że „Oblicze dnia" p. Wandy Wasilewskiej*) powieścią nie jest, jest to raczej zlepek reportaży i reportażyków z życia robotników, zlepek najzupełniej jednostronny, nastrojony na nutę komunistycznej ulotki propagandowej, podburzającej, pod hasłem: Budujemy świat wolnych ludzi. Autorka wyszła z założenia, że wszyscy, prócz robotników i ich rodzin, to szubrawcy, krwiopijcy, wyzyskiwacze. Poza robotnikami niema zupełnie jednostek wartościowych: dozorca w cegielni musi być obowiązkowo pasibrzuchem i denuncjantem, dozorca w tkalni gwałcicielem lub conajmniej kanalją ostatniego rzędu. Pani, godząca służącą, jest albo obrzydliwą dewotką, albo nieznośną sknerą czy też patentowaną wyzyskiwaczką — natomiast wszystkie służące są męczenniczkami, które służby wytrzymać nie mogą, bo są albo morzone głodem, albo nieśmiertelny „panicz" nastaje na ich cnotę. Niezgorzej dostaje się też nauczycielom i szkole. Matka dziecka robotniczego na wywiadówce przechodzi kalwarję, nie śmie się zbliżyć do profesora, bo:

„matka w chustce boi się... zająć mu czas... przed paniami w strojnych kapeluszach, w jedwabnych sukniach, do których pan profesor uśmiecha się przypochlebnie, na widok których prędko przemazuje dwóje w swoim notesie".

Nauczyciel — to chodząca zarozumiałość. Dziecko chodzi do szkoły tylko po to, by znosić pieniądze na różne zbiórki, łaskawie potraktowane bywa dopiero wtedy, kiedy rodzice się zorjentują, że przychylność nauczyciela dla dziecka zdobyć można tylko jakimś darem. Czytanki szkolne — to, oczywiście, głupstwa i idjotyzmy, służą jedynie do sprowadzania dziecka robotniczego, jak to autorka na „subtelnie" wybranych przykładach wykazać usiłuje. Ciekawym, czy szan. autorka kiedykolwiek miała w rękach czytanki Tynca i Gołąbka, lub Balickiego i Maykowskiego.

Całe zagadnienie wychowania dziecka w szkole potraktowane jest przez autorkę lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie, a wszystko, co wogóle mówi o szkole zmierza do tego, by szkołę ośmieszyć i budzić nienawiść do niej.

Jedyne słuszne spostrzeżenia autorki w tej dziedzinie, to zbyt infantylne podchodzenie nauczycieli do dzieci młodszych z wielkomiejskich środowisk robotniczych. Istotnie, infantylne potraktowanie rozmaitych zagadnień, które dziecko, z wspomnianego środowiska zna zupełnie po „dorosłemu", pobudza dziecko do zlekceważenia omawianego zagadnienia.

W analogiczny sposób potraktowane jest całe społeczeństwo pozarobotnicze — niema jednego typu dodatniego. Próbką takiego nastawienia agitacyjnego może być przykład następujący: jakaś wycieczka kobieca zwiedza tkalnię. Dozorca poleca jednej z robotnic oprowadzenie wycieczki i udzielenia wyjaśnień. Oto — jakie uczucia podsuwa autorka owej robotnicy:

„Zaprowadzisz panie do tkalni — mówi dozorca. Anka mocno zaciska usta. Idzie naprzód z głuchym gniewem, tlejącym w sercu (dlaczego?). Jej dzień roboczy wydany na pastwę sytych oczu, nagie rany pod biczem obelżywych (dlaczego obelżywych?) pełnych litości spojrzeń. Nie odpowiada na pytania. Miele w zębach jedno słowo — przyglądając się różowym twarzom, słuchając okrzyków zdumienia — k...y".

Żeby to choć autorka czemkolwiek próbowała uzasadnić, dlaczego kobiety zwiedzające kopalnię, mają być k...wami. Ot tak rzucone.

Weźmy teraz dla odmiany opis szpitala. Prześcieradła cuchnące, cała obsługa chorych od pielęgniarek do lekarzy, to banda nieludzka. W zakładzie wychowawczym dla chłopców tylko głód i kij. Wychowawczo oddziaływać nawet nikt nie próbuje. Jest to chyba opis Studzieńca w najgorszym tego zakładu okresie. Czy się autorka temu wszystkiemu, co opisała, naprawdę przyjrzała? przyjrzała objektywnie i sprawiedliwie? Zdaje się raczej, że postanowiła zgóry wyeliminować wszystko, co mogłoby w jakikolwiek sposób świadczyć na dobro społeczeństwa. Kanalje, o których mówi autorka, istnieją niewątpliwie, ale przecież nie s a m e kanalje, jak to p. Wasilewska chce wmówić w czytelnika.

Jeśli autorka swym realistycznym opisem, jakby na gorąco uchwyconemi obserwacjami, chciała w czytelniku obudzić współczucie, w społeczeństwie sumienie — to taki jednostronny opis musi najbardziej bezkrytycznego czytelnika nastroić sceptycznie do poczucia sprawiedliwości autorki. Wydawnictwo, dając na marginesie okładki książki pewnego rodzaju recenzję orjentacyjną, pisze, że autorka „odsłania te tajniki i zakamarki życia, od których uciekamy nawet myślą, by nie zatargały naszym spokojem, by ostrym zgrzytem nie zakłócić naszej wygody". Zapewne, autorka ma prawo przedstawić obrane zagadnienie, jak zechce, wybrała tylko czarne plamy, stworzyła obraz bardzo subjektywnie jednostronny. My, czytelnicy, nie lękamy się tej prawdzie, nawet tak ujętej, spojrzeć otwarcie w oczy. Oczu zamykać nie możemy ani nie chcemy, nie miałoby to też najmniejszego sensu, bo ta nędza pcha się każdemu codziennie w oczy, i my wszyscy, którzy pracujemy i zarabiamy, każdy w miarę swych możności stara się bez deklamacji biedzie tej pomóc. Dlatego właśnie mamy prawo i obowiązek zaprotestować energicznie przeciwko tak jednostronnie ujętemu obrazowi dzisiejszego społeczeństwa.

Oblicze dnia nie jest tylko takie, jak je nam ukazuje autorka nawet nie w obrębie tej jednej klasy czy warstwy społeczeństwa I takim sposobem, sposobem szerzenia nienawiści, nic się nie naprawi. Przeciwnie. Nie nienawiści nam potrzeba, lecz właśnie zgody i wspólnego zrozumienia się, by razem obmyśleć środki, jakby zło społeczne zredukować do minimum. Dlatego, nie szerzyć nienawiść — ale miłość, nie judzić —lecz łagodzić. Tak tylko zbudujemy świat wolnych ludzi, to jest zadaniem każdego uczciwego i sprawiedliwie myślącego człowieka. Powieści w guście „Oblicza dnia" to porozumienie tylko odsuwają, więc szkodzą, nawet gdyby posiadały wysokie walory artystyczne, a i tego o powieści p. Wasilewskiej powiedzieć nie można. Czytaliśmy na podobne tematy znacznie lepsze rzeczy, jeśli chodzi o reportaże, to świetne, subtelne „Krzyże z papieru" Ewy Szelburg - Zarębiny, reportaże p. Boguszewskiej, Melcer, Muszałówny, Kornackiego a i ostatnio interesującą powieść reportażową, i to prawdziwą powieść Henryka Drzewieckiego: Kwaśniacy. Powieści p. Wasilewskiej jeszcze daleko do nich, nawet jeśli już wyeliminować sposób ujęcia materjału. Przecież samo zagadnienie pracy pojęła autorka dość dziwnie. Niema pracy — jest źle. Zgoda na to. Praca daje zarobek, a zarobek umożliwia życie. Dla przewagi robotników w powieści p. Wasilewskiej praca nie jest niczem innem, jak przekleństwem, wyzyskiem, zmową kapitału. Nic innego, szlachetnego autorka z pracy wydobyć nie potrafiła czy nie chciała. Jedynie praca partyjna opromieniona jest aureolą. Żaden ze spotkanych w powieści robotników nie odczuwa odrobiny radości z pracy. I to także nie jest zgodne z rzeczywistością. Możnaby na każdym z tych złączonych w jednym tomie pod wspólnym tytułem reportaży wykazać takie tendencyjne formowanie pewnych przejawów rzeczywistości. Tak pozostaje zamiast powieści zbiór ulotek o barwie bardzo radykalnej, tak radykalnej, że cenzura skonfiskowała całe stronice parę razy w ciągu powieści. Naprawdę szkoda, że nie całą. Literatura polska nie byłaby poniosła żadnej straty.

*) **WANDA WASILEWSKA: Oblicze dnia.** Tow. Wydawn. Rój — Serja Nowa. Warszawa, 1934. Str. 313.

Tadeusz Gładysh

O twórczości aktorskiej

— Jak ci aktorzy łatwo grają! Mówią, śmieją się, zbliżają się do siebie i odchodzą, podają sobie ręce lub siadają na krzesłach. Zachowują się zupełnie taksamo — myśli sobie widz — jak, ja, kiedy przyjdę z wizytą do znajomych...

Aktor, który przeszedł przez rozkosz i mękę uczenia się roli, może go wyprowadzić z błędu. Scena to zupełnie obcy świat, którym rządzą prawa, nieznane zwykłemu śmiertelnikowi. Dużo czasu upływa, zanim zmienisz się w aktora, któremu nogi nie plączą się pod wpływem magnetycznej siły spojrzeń setek oczu ludzkich; zanim potrafisz spokojnie, normalnie oddychać na scenie. Weźmy dla przykładu fragment komedji Łopalewskiego. Widziałem, jak go opracowywano w „Reducie".

Wchodzi człowiek, który usiłował popełnić samobójstwo, ale go ocalono. Uciekł przed śmiercią. Cieszy się z tego. Rzucając się do Wisły, ukarał żonę: skompromitował ją. Doznał też osobistej satysfakcji. A że go tam ktoś uratował, to już nie jego wina. Siedzi w swoim pokoju, rozgrzewa się herbatą i śmieje się.

Przychodzi drugi aktor, który gra jego przyjaciela. Ten drugi nie wnosi na scenę żadnego innego uczucia, poza lękiem o przyjaciela. Skoro więc zastaje go śmiejącego się, cóż mu wypada uczynić? Lęk o przyjaciela, z jakim zdradza się w pierwszych słowach, powinien zniknąć, gdy spostrzeże radosny nastrój ocalonego. Obaj mogą się teraz śmiać z minionego niebezpieczeństwa. Takby wyglądały te reakcje w życiu, gdyby zachodziły na drodze naturalnej. A na scenie aktor musi się ich nauczyć. Powinien wiedzieć, jak długo ma być przerażony i od jakiego wyrazu twarzy przyjaciela może się zacząć śmiać. W tym wypadku znajdzie zastosowanie jeden z elementów techniki gry aktorskiej, zwany, według terminologji „Reduty" — **kontaktem.** Kontakt to ta niepochwytna łączność z przedmiotami, ze światem, z ludźmi na scenie — taka naturalna w życiu codziennem. Człowiek, który dobrze zna swój pokój, wie, naprzykład, że nie należy gwałtownie rzucać się wtył, bo tam stoi biurko z ostrym rogiem. Można się uderzyć. A jeśli się uderzysz choćby raz, powstanie w twoich plecach zmysł, który, jak wartownik, będzie cię strzegł przed ponownem zderzeniem, bliskość biurka alarmując drżeniem skóry. Otóż — mieć kontakt ze sceną, to znaczy mieć setki takich zmysłów, dzięki którym aktor wyczuwa wszystko, cokolwiek jest, było lub będzie na scenie w danej sztuce. To znaczy: siecią nerwów połączyć się ze stołami, z krzesłami, z ludźmi, ze światłem, z całym kompleksem sceny — tak, jak mózg łączy się z ciałem. Scena, to jak skrzypce. Aktor, jak sprężone powietrze, wpada wgłąb tego instrumentu i musi dbać, aby rezonans nie wyszedł fałszywie.

Co to znaczy zagrać jakąś rolę? To taksamo: skontaktować się z jakąś wybraną czy urojoną postacią, przyswoić ją sobie, wejść w nią, i po takiem przekształceniu, jako jeden z licznych elementów, wmieszać się w symfonję sceny, między współgrające, dajmy na to: przedmioty i zwierzęta, między elementy świetlne, nastrojowe i dźwiękowe.

Najtrudniejszy jest kontakt, jaki musi zajść między postaciami w wymienionej scence: kontakt między ludźmi. Doniedawna jeszcze aktorzy grali: ten sobie a ten sobie. Gra zespołowa to nie tak stara zdobycz, a zasadę jej przyjęto z życia. Ludzie, jeżeli ich łączy jakiś interes, ilekroć mówią o nim, mają specjalny wyraz oczu, ust, całej twarzy. Głos jednego odpowiada głosowi drugiego, to podnoszą się, to opadają, ścigają się uczuciowo, nacierają na siebie, odskakują. Gniew budzi gniew lub pokorę. Rozmowa naturalna, która w życiu przychodzi ludziom bez trudu — jest niedoścignionem marzeniem aktorskiem.

Aby na scenie fikcję literacką przemienić w zdarzenie prawdziwe, aż krew popłynie żywo, aż ludzie się rozpłomienią, na to trzeba dużo pracy aktorskiej, urealnienia wzajemnego stosunku dwóch postaci, autosugestji. Aż aktorzy zapomną, że są aktorami a będzie im się wydawało, że są głosicielami swoich własnych a nie literackich cierpień czy radości. Wtedy się mówi: oni mają kontakt. Nie ględzą: ten sobie a ten sobie. Słowa pierwszego, jak deszcz w ziemię, wsiąkają w tego, który słucha.

Są setki szablonów, na zasadzie których, zależnie od potrzeby, powstają między ludźmi na scenie kontakty. Poprzez nienawiść i miłość, przez zgodę i kłótnię, przez zazdrość, wspólne oczekiwanie, przez strach, milczenie — przez wszystkie możliwe uczucia i nastroje. Jeśli przez milczenie, to aktorzy muszą grać tak, aby było widać, że słowa są zbędne. Wyrazy oczu, gest, mimika, muszą wyjaśnić, co łączy lub dzieli ludzi: miłość czy nienawiść. Powstanie wtedy coś, jak obraz malarski.

Kontakt to zgodność psychologiczna aktorów, zgodność, która raz opiera się na zasadzie harmonji, to znów — polifonji. Zbiorowa radość wymaga kontaktu przez harmonję. Nienawiść Smugonia do Przełęckiego w „Przepióreczce" — polifonicznego. Uczucia tych dwóch mężczyzn nie wiążą się tak, jak we wspólnej radości, ale są samoistne, jak dwa różne motywy. Kontakt w tym wypadku będzie polegał na zachowaniu proporcji między uczuciami obu stron, na ścisłem związaniu reakcji z akcją. Zawsze jednak powinna istnieć równowaga. Każda rozbieżność między akcjami obu stron, niepokrywanie się dowodza braku kontaktu.

Punktem wyjścia do badań nad kontaktem z przedmiotami może być obce mieszkanie, do którego przychodzimy po raz pierwszy. Każdy sprzęt to wróg, który pochłania za dużo uwagi. Aktor, który nie zżył się z krzesłem, na którem ma siedzieć podczas przedstawienia, męczy się, jakby usiadł na grzbiecie nosorożca. Dopiero przez ćwiczenia można dojść do tego, że krzesło nie stawi oporu, przestanie absorbować. Aktor usiądzie na niem, jak u siebie w domu.

Scena to taki dziwoląg, że dorośli ludzie muszą na niej uczyć się chodzić, jak niemowlęta. Życie na scenie to linja równoległa do życia na codzień. Linja ta jednak leży powyżej linji życia i różni się tem, że każdy krok jest na niej — dobrany: jest to droga sztuki, w której wszystko polega na świadomym doborze, na kompozycji.

Kontakty: z ludźmi i z przedmiotami — nie wyczerpują zagadnienia. Jeszcze dziesiątki całe nici musi aktor rozpiąć pomiędzy sobą a postacią, którą pragnie zagrać. Są jeszcze inne kontakty, powiedzmy: z naturą. Z nocą, z dniem. Różne odcienie warunków atmosferycznych wymagają różnych psychicznych ustosunkowań się do nich. Każda barwa powietrza wywołać powinna w aktorze inny nastrój. Zdarza się, że za oknem na scenie pada śnieg lub deszcz, wschodzi słońce, jest zmierzch albo jasny dzień. Wtedy na aktorze powinna się odbić ta wieczorność, śnieżystość, poranność — albowiem wszystko to musi zostać wciągnięte do gry. Dalej istnieje cała skala kontaktów z oświetleniem. Pomija się je często. Sam widziałem taki przykład. Na scenie ma być noc. I oto aktor, mówiąc: „Jak tu ciemno!" — idzie swobodnie, nie potykając się o sprzęty, jak w dzień. Następnie nie reaguje na lampę, którą przed nim postawiono, choć powinien przynajmniej zmrużyć oczy. Kiedyindziej znów jeden aktor krzyknie drugiemu „niespodzianie" za plecami, a ten nie drgnie, choć powinien udawać, że go to zaskoczyło.

Kontakt to pełna świadomość życia scenicznego i umiejętność natychmiastowego harmonizowania się z niem, choćby się zdarzyły rzeczy, w reżyserji nieprzewidziane. Aktor, który potrafi to zrozumieć i wywołać w sobie wszystkie możliwe kontakty, jeżeli zrobi to dobrze — ma już część kreacji, stworzył w sobie szkielet dla drugiego człowieka. Wiedza kontaktów to forma wewnętrzna, to już połowa sztuki aktorskiej. Jeśli się do tego doda umiejętność realizowania tych imperatywów, zdolność przemieniania ich w słowo, w gest, w ruch; jeśli się doda zdolność konsekwentnego życia w narzuconej sobie postaci — osiągnie się resztę: formę zewnętrzną. A w sumie: całą sztukę aktorska.

Powróćmy jeszcze raz do scenki ze sztuki Łopalewskiego. Jakżeż się myli widz, rozparty wygodnie w krześle na sali teatralnej, przypuszczając, że aktorom tak łatwo przychodzi to życie na scenie. Przez ileż trudów twórczych muszą przejść, zanim zagrają człowieka, który się topił i jego przerażonego przyjaciela. Począwszy od zrozumienia idei sztuki, od koncepcji postaci, poprzez kształtowanie głosu, gestu i mimiki, poprzez kontakty, w ściśle obliczonych sytuacjach, aż do zadowalającego rezultatu.

Eugenjusz Byrski

Scenarjusze filmowe

W swej „Walce o treść" Irzykowski, występując przeciwko bezmyślnej manji atakowania tradycyjnych zagadnień, bez zrozumienia i opanowania ich treści przez pokolenia współczesne, pisze o skonfiskowaniu problematów w literaturze. „Niby że teraz jest już moda na sprawy uniwersalne, więc tamte nie istnieją" (str. 147). W odniesieniu do kina możnaby mówić o standaryzacji zagadnień. Zalew scenarjuszów o uproszczonej problematyce jest ogromny. Już nie mówimy o serjach obrazów, fabrykowanych en masse „na jedno kopyto", jakkolwiek uzasadnione wydać się może poszukiwanie fabuły, zbliżonej do tej, która odniosła była sukces. W swoim czasie, a nie tak dawno, oglądaliśmy na ekranach trzy filmy sentymentalne: „Boczna ulica", „Jennie Gerhard" i „Zaledwie wczoraj", zrobione podług analogicznej recepty, przyczem przynajmniej dwa z nich legitymowały się indywidualnem pochodzeniem literackiem.

Tu już ciąży nad scenarzystą w sposób fatalny ów przymus niemal dziś powszechnie obowiązujący, produkowania szablonu bez ryzyka uciekania się w gąszcz subtelności i rezerw intelektualnych.

Ostatniemi czasy, gdy nastała moda na epikę w literaturze, epikę, zainaugurowaną przez Galsworthyego, poszły z niej „dymy" i na kino, które odpowiedziało „Kawalkadą", „Symfonją życia" i t. p. Oczywiście i w tym wypadku, jak i w wielu innych, pośredniczy w takiej filjacji jakaś „stacja przekaźnikowa" literatury. Scenarjusz „Kawalkady" osnuty jest na dziele dramatycznem Cowarda, o takimże tytule. W tym procesie destylacyjnym zachodzi przeważnie odproblematyzowanie fabuły, lub też wprost, niekiedy dość karkołomne, przystosowanie tekstów. Zresztą tam nawet, gdzie robota jest uczciwa, znajdzie się zawsze ktoś, komu cuchnie brak owego szablonu.

Znamienną dla tych spraw była polemika, jaka toczyła się parę lat temu z okazji pojawienia się znakomitego filmu Lubitscha, zrealizowanego według dramatu Rostanda p. t. „Człowiek, którego zabiłem". Na obrazie tym chciano dokonać „szantażu literackiego" — że użyjemy tu wyrażenia Irzykowskiego — w imię zbyteczności tematów tak indywidualnych, tak niemal aspołecznych. Głęboki nurt treściowy tego filmu, ostatniego bodajże filmu z prawdziwego zdarzenia produkcji współczesnej, po którym nastąpiło owo sławne „długo, długo nic", — nie wymagał obrony przed krytyką, żadającą imitacji, zamiast oryginalności, szablonu, zamiast dramatu.

Charakterystycznym objawem spłycenia tematyki w literaturze filmowej jest brak prawdziwej komedji, komedji w stylu Chaplina, udramatyzowanej satyry. Dzieło Chaplina powstało w złotej epoce filmu, kiedyto podejmowano godne uwagi próby poważnej twórczości, a tylko w takiej temperaturze artystycznej może dojść do stworzenia „Cyrku", czy „Świateł wielkiego miasta".

Zniżenie lotu fabuły obrazów filmowych, nagminne rozpanoszenie się produkcji szablonu niweczy niemal doszczętnie nasze nadzieje na odrodzenie się filmu w latach najbliższych. A trzeba zważyć, że możliwości techniczne kina współczesnego są olbrzymie. Niewyeksploatowany jeszcze w dostatecznej mierze dźwięk, dokonany w ostatnich dniach wynalazek filmu barwnego otwierają przed produkcją filmową perspektywy niezwykle szerokie.

Trzeba wszelako naprzód rozwiązać zagadnienie elementarne, bez rozstrzygnięcia którego niesposób jest dziś myśleć o wyjściu ze ślepej uliczki, w jaką dzisiejszą produkcję wpędza bezmyślność scenarjusza filmowego. Jest nim ustalenie stosunku do literatury, literatury pojętej jaknajszerzej, a przedewszystkiem do dobrego dramatu i dobrej powieści. (Dobra literatura, rzecz jasna, może dać film słaby, lub zły. Przykład: „Jaką mnie pragniesz", wg. Pirandella, z rodzimej twórczości: „Przedwiośnie").

Tą drogą, sądzimy, film dojść może sczasem do stworzenia własnego tworzywa fabularnego, o elementach wysokowartościowych, opartego wszakże nie na notorycznem wyrzekaniu się współczesnych zagadnień, znajdujących swój wyraz w powieści i dramacie współczesnym, a rzekomo nie nadających się do traktowania ich w płaszczyźnie ekranu.

Feliks Antosiewicz

Zasługi Ottona Knopfa

Otto Knopf, palacz kontrtorpedowca „Rudolf", odrzucił ciężką łopatę i usiadł na kupie węgla, która, stoczywszy się z bunkru, chłodną swą masą zaległa cały tył kotłowni. Knopf otarł przedramieniem pot ściekający mu z czoła i spojrzał na umieszczone ponad kotłami manometry. Cztery elektryczne żarówki dość jasno rozświetlały wnętrze ciasnego pomieszczenia i blask ich matowo odbijał się od dużych szkieł, pokrywających białe tarcze zegarów. Powierzchnie kotłów, wypukłe, gęsto nitami pokryte blachy stalowe, wystawały nad szerokiemi paleniskami, jak wydatne brzuchy piwoszów, schodzących się na kufelek pilznera do oberży Starkmana. Tak myślał Otto Knopf, spoglądając na znienawidzone kształty i kojarząc swe zadumy z wspomnieniami życia wśród najbliższych przyjaciół.

— Oszukano mnie, haniebnie oszukano — mruczał cicho, ponurym wzrokiem wodząc po ścianach bunkierluku.

Knopf nie mógł pogodzić się ze swym losem. Na każdym kroku klął przeklęte przeznaczenie i ciężko złorzeczył, obejmując swą zwykłą wachtę w kotłowni.

Bo i jakże? Czy to ma być wojna? Gdy trzy miesiące temu zgłaszał się do biura, przyjmującego ochotnicze zapisy na służbę frontową, ponosił go zapał i chęć służenia ojczyźnie. Pragnął stanąć mężnie w szeregu walczących i iść krokiem zwycięskim poprzez ziemię wroga, ramię przy ramieniu z towarzyszami broni, zdobywać znienawidzone sztandary Francuzów i jaknajofiarniej przyczynić się do walnej wiktorji ojczystego oręża. W wyobraźni wirowały mu obrazy bohaterskich ataków na francuskie pozycje, niosące śmierć, świszczące szrapnele i granaty, obracające w perzynę okopy, wypełnione błękitnym tłumem żołnierzy. I gdzież się podziały te cudowne wizje, gdzież uleciało wprowadzenie w czyn jego bitnych marzeń?

Trzy miesiące temu, na komisji lekarskiej, określającej fizyczny stan nowozaciężnych, gruby kapitan - lekarz zapytał go o zawód cywilny:

— Jestem palaczem w fabryce — odparł wówczas Knopf, prężąc wydatne muskuły. — Palę pod kotłami...

Kapitan kazał mu obrócić się dokoła i znagła pochylił się ku siedzącemu za stołem oficerowi marynarki wojennej.

— Przyjmie pan go? Wydaje się mocny, a przytem jest fachowcem. I lat ma 38...

Zanim Knopf zdołał zorjentować się w sytuacji, na kwestjonarjusz jego padł duży, czerwony stempel. Kazano mu się ubrać i jeszcze tego samego dnia wyprawiono do Kielu. Nie było czasu na molestowanie i prośby.

— Nie będę biegł z karabinem w ręku naprzeciw wroga, nie będę miotał granatów, nie zdobędę wrogiego sztandaru — myślał Otto Knopf, przymierzając marynarskie hajdawery. A gdy po raz pierwszy zeszedł do kotłowni, momentalnie przypomniała mu się fabryka.

— Oszukano mię — płakał niemal — ja mam tu wojować? Gdzież miejsce na bohaterski wysiłek bojowy, z łopatą węgla znałem się i wtedy, gdy nie było wojny, może lepiej było zostać w domu, robiłbym to samo, a byłoby bezpieczniej...

Kwestja wątpliwego bezpieczeństwa poczęła u Knopfa odgrywać ważną rolę od chwili, gdy dowiedział się o smutnym końcu pancernika „Berlin". Pancernik, otrzymawszy torpedowy strzał w maszyny, poszedł szybko na dno, a zginęła wówczas cała załoga. Utopili się wszyscy palacze — opowiadał w kubryku bosman, i Knopf z przerażeniem myślał o dużem prawdopodobieństwie możliwości takiego samego rozstania się z życiem. Nie, tego rodzaju służenie ojczyźnie nie odpowiadało mu zupełnie. Czuł, że jest jedynie małym pionkiem, poprostu częścią maszyny parowej. Nie miał najmniejszej okazji do wybicia się, okazania swej odwagi, męstwa.

— Nie mam szczęśliwego przeznaczenia — powiedział sobie w końcu po zreasumowaniu wydarzeń ostatnich dni. — I haniebnie mię oszukano...

Znienawidził okręt, życie marynarskie i pokładowych kolegów.

— Siedzą sobie te franty — mówił o tych ostatnich — na pokładzie i walą z armat, aż miło. Gdy im się uda zestrzelić coś większego, dostają żelazne krzyże. A ja co?

Trapił go wyraźny brak sprawiedliwości. Przed każdą potyczką zstępował do piekielnej czeluści maszyn sam komandor von Adlers, dowódca okrętu, i przemawiał do palaczy i maszynistów, w gorących słowach, podnosząc ważność i doniosłość ich pracy.

— Dzięki wam posuwamy się naprzód — ryczał, usiłując przekrzyczeć hałas sapiących maszyn — dzięki wam możemy ścigać wroga i unieszkodliwiać go! To wy wygrywacie bitwy wy zlani potem palacze wojennego okrętu!

O tem, że po każdej wizycie w kotłowni komandor von Adlers brał kąpiel i zmieniał bieliznę, Otto Knopf nie miał najmniejszego pojęcia, myślał tylko często nad tem, dlaczego to nie palacze, zwycięzcy w bitwach, lecz oficerowie i marynarze pokładowi, zbierają przy każdorazowem pojawieniu się w porcie chlubne odznaczenia.

— To nie jest „klar" — powiedział kiedyś do swego kolegi. Wszystkich nas nabijają tu w butlę.

•

Kontrtorpedowiec „Rudolf", jak każda inna, wąsko skonstruowana jednostka, dość silnie chybotał się na boki i Otto Knopf, pochylony nad rozbijaną młotem bryłą węgla, doznał uczucia mdłości.

— Jeszcze to na mnie spada — pomyślał z rozpaczą. Och, jakie straszne jest morze! Próbował ułożyć się na płytach podłogi, lecz kołysanie statku uniemożliwiało mu pozostawanie w nieruchomej pozycji. Mocniejszy przechył obsypał w bunkrze stromą górę węgla i Knopf zerwał się z przerażeniem. Z otworu lukowego potoczyło mu się pod nogi kilka czarnych głazów, przed którcmi musiał szukać schronienia w korytarzyku, wiodącym do maszynowni.

— Tego brakowało, aby mi tu nogi zmiażdżyło — syknął nienawistnie i, wyszedłszy po chwili zza bezpiecznej zasłony, począł ostrożnie odgarniać na bok zwały paliwa. W gardle drapało go od nieustannie połykanego, czarnego pyłu, ciało spływało potem, a żołądek zdawał się przewracać na wszystkie strony. W momencie, gdy Knopf podszedł do rogu kotłowni, aby wejść z nim w porozumienie, otworzyły się drzwi maszynowni i stanął w nich komendant.

— Chłopcy — zawołał do czterech palaczy — za kilka chwil nasze działa poślą wrogowi śmiertelne pociski. Spełnijmy swój obowiązek! Nie zapomnijcie, że wszyscy jesteśmy szarymi żołnierzami, walczącymi o wielką sprawę...

Otto nie mógł tej przemowy wysłuchać do końca. Usiłując stać na baczność, chwiał się na wszystkie strony, a czoło zalewał mu zimny pot. Akurat, gdy usłyszał aforyzm o szarych żołnierzach, żołądek podniósł zdecydowany bunt i pan von Adlers szybko wycofał się z kotłowni.

— Strasznie jest tam, na dole — mówił później do swego pomocnika, stojąc na wyniosłości mostku i wdychając świeże powietrze. Palacze chorują, zażygują ściany... Smary wydają taką wstrętną woń, i co za żar!

A Otto Knopf, blady i zmęczony, otarł ręką usta, poczem usiadł na twardych zwałach i podniósł wzrok na manometry.

Koledzy krzątali się koło swych palenisk i przesyłali Ottonowi życzliwe, współczujące spojrzenia.

Jeden z nich podszedł doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Chorujesz, bracie, to przykre, ja rozumiem. Sam tego żygałem, jak pierwszy raz wyszedłem na morze. I długo się mnie to paskudstwo trzymało, długo. Ale się nie przejmuj, Otto. Odpocznij sobie. Podrzucę za ciebie, bo widzę, że ciśnienie spada. A słyszałem, że Anglik blisko...

Knopf pochylił głowę, a palacz ujął łopatę, okręcił zawór wentylatora, wpędzającego żar pieca do wnętrza paleniska i otworzył drzwiczki. Masywną jego sylwetkę zalała krwawa łuna ognia. Sprężyście pochylał się, zagarniając łopatą węgiel, potem szerokim zamachem wrzucał jej zawartość do ziejącego blaskiem prostokątnego otworu.

Knopf patrzał na niego z dziękczynnem rozrzewnieniem i drżącemi palcami wydłubywał z kieszeni spodni papierosy.

— Zapal, Kurt — podał mu pudełko. — I dziękuję ci. Jesteś dobry kolega.

Wtem do kotłowni dotarł odległy, przeciągły grzmot. Otto wsłuchał się w ten odgłos. Dziwną zdolnością, pochodzącą może z przyzwyczajenia, wyeliminował z swej świadomości łoskot maszyn, syk pary, szuranie łopat i szczęk żelaza. Ucho jego chwytało jedynie owe obce, dalekie dźwięki.

I grzmot powtórzył się. Był może nawet głośniejszy.

Kurt również stał zasłuchany. Wytrzeszczył oczy, twarz mu lekko przybladła.

— Zaczęło się — rzekł — zaraz nasi kropną...

Istotnie, niemal w tej samej chwili rozległa się piorunująca salwa z kontrtorpedowca. W maszynowni nieustannie poczęły dzwonić różne dzwonki, światło nieco przygasło, sufit kotłowni rozbrzmiewał tupotem kroków.

Otto nerwowo zaciągał się papierosem.

— Boże, daj zwycięstwo — wyszeptał posiniałemi wargami. — To okropne...

Wyobraźnia jego, chorobliwie poruszona grozą sytuacji, pracowała gorączkowo, niemal nienormalnie. W górze grzmiały działa, kontrtorpedowiec przechylał się gwałtownie, widocznie lawirował. salwy wstrząsały nim tak silnie, aż dygotały stalowe płyty.

Bitwa!!

Knopf z wyraźnym przestrachem wpatrywał się w malowane szarą farbą ściany kotłowni. Kto wie, czy za moment nie rozedrą się one pod uderzeniem pocisku?! A może? Wdarłby się słup wody, zalewając rozrzażone paleniska, zatapiający wszystko i wszystkich. On, Otto Knopf, palacz fabryczno - okrętowy, łykałby słoną wodę i dusiłby się, tonął...

Przerażenie obejmowało mu czaszkę zimnemi, trupiemi palcami. Ukrył twarz w dłoniach, przetarł oczy, rozmazał wszystkie sadze, jakie osiadły na jego policzkach i znowu wyczekująco rozejrzał się wokoło.

— Z której strony? Przez burtę lewą, czy prawą? A może z góry tryśnie wielki strumień przez wyrwę w pokładzie? Może wprost w kotły i wszyscy wylecą w powietrze?

Trzej palacze zbili się w grupkę i nadsłuchiwali. Palili papierosy i bezmyślnie wpatrywali się w kotły.

— Czyż oni nie odczuwają tego samego strachu, co on, Otto Knopf? Dlaczego? Przecież i oni są ludźmi. I im grozi takie samo niebezpieczeństwo...

—Co znaczy to wstrząśnienie?!

Knopf zrywa się na równe nogi, czuje, że podłoga chyli się w prawą stronę, węgiel przesypuje się z łoskotem, a on biec musi aż pod burtę, gdyż nie znajduje oparcia.

Czyżby trafiono ich? Dlaczego gaśnie światło?! Co znaczy ten hałas na górze? I ten szum? Nigdy go przedtem nie słyszał, to nie maszyna, nie para, to woda, woda, która zalewa maszynownię!!

Otto Knopf stoi, jak sparaliżowany, nie może ruszyć się z miejsca, choć instynkt samozachowawczy każe mu biec ku drabince włazowej, drapać się na górę ...

Głośny, bardzo głośny i niedaleki huk. Kontrtorpedowiec chyli się jeszcze bardziej, jednocześnie wzmaga się głuchy szum.

— Co to pluszcze pod drzwiami maszynowni?!

Knopf czuje, że przerażenie podnosi mu włosy na głowie. Jest zupełnie ciemno, lecz on rzuca się naoślep przed siebie. — W tym kierunku, w odległości dziesięciu kroków musi być wyjście... Potyka się o bryły węgla, szuka rękami oparcia, parzy dłonie o rury z gorącą wodą.

— Jest, jest przejście, znalazł już drabinkę, wiodącą na pokład!

Wspina się teraz szybko, wypada z ciemnych czeluści na oślepiający blask dnia. Słyszy, że na dole dzwonią na alarm. Nie wie, co to znaczy, ale... Już się nie wróci. Oto przebiega bosman i krzyczy coś do niego. Otto nie rozumie, gdyż słowa giną w ogólnym tumulcie. Marynarze pędzą, jak szaleni na górne pokłady, ślizgają się po czerwonych płytach. Knopf dziwi się. Dlaczego tyle plam czerwonych na decku? Wędruje wzrokiem po nadbudówkach i nagle wszystko zaczyna rozumieć. Gdzie się podziała podstawa mostku? Gdzie działo na rufie? A ten otwór w prawej burcie...

•

Wszystko stało się tak szybko, że Knopf nawet nie może przypomnieć sobie szczegółów. Szczęśliwy jest, że udało mu się uczepić szczątków szalupy i nie pracować już ramionami. Bolą go mięśnie barkowe. Pływał tak długo... Ale rozpiera go duma. Jest przecież zwycięzcą! Żyje i nie dostał się do niewoli. „Rudolf" zniknął wprawdzie w morskiej toni, lecz on, Otto Knopf, żyje!

— Czy nie przyjeżdża jakiś statek? Przecież nie można ciągle moczyć się w wodzie.

Knopf wydrapuje się na kupę drewnianych desek, z kształtów przypominających dziób morskiej szalupy. Utrzymuje się na tem jakotako. Przykłada dłoń do czoła i lustruje morze.

— Nie! Nie widać statku. Nie widać nic. Widnokrąg jest pusty... Tylko... co to jest?

Knopf spogląda na ciemny punkcik, niezbyt odległy, powoli sunący po powierzchni.

— Ludzka głowa! Ktoś płynie ku niemu... Zapewne będzie chciał, aby Knopf udzielił mu miejsca, a deski nie wytrzymają ciężaru dwóch ludzi...

*

— ...Jestem przecież twoim komendantem!

— Jesteś durniem, jeżeli myślisz, że dla ciebie zechcę się utopić...

—Daj mi się przynajmniej przytrzymać krawędzi. Słabnę...

— Próbowałeś się trzymać i przekonałeś się, że mnie zatapiasz. Deski nie uniosą nas obu, panie von Adlers.

— Potworze, potworze...

— Chcesz oberwać po łbie?... Otto Knopf wyrywa kawał drzewa i wali nim po palcach, wczepionych w krawędź jego zbawienia.

— Pod sąd pójdziesz, łotrze! Każę cię rozstrzelać!

Knopf z wściekłością podnosi ramię i w formie odpowiedzi wymierza w łysą czaszkę kilka mocnych razów. Komandor von Adlers znika pod wodą, rumowisko drewna o kilka centymetrów unosi się w górę.

W kilka godzin później dostrzeżono go z przepływającego opodal pancernika „Leipzig". Otto Knopf, wyczerpany do ostatnich granic, zziębnięty, wygłodniały, został wywindowany na pokład. Opatrzono mu oparzenia na dłoniach, nakarmiono i, gdy ułożył się w wygodnem łóżku lazaretu, odwiedził go komendant. Otto słabym głosem złożył mu służbowy meldunek i opowiedział o przebiegu walki. Komendant podał mu rękę.

— Jesteście jedynym człowiekiem, który z tej bitwy uszedł z życiem. Ojczyzna ma w was przedstawiciela całej bohaterskiej załogi. Cześć pamięci poległych na polu chwały.

Podniósł dłoń do wyzłoconej czapki, zebrani oficerowie wyprężyli się. W tydzień później Otto Knopf, mężny palacz, otrzymał wysokie odznaczenie. Spełniły się jego marzenia, ale gdy przyszedł do siebie, gdy otrząsnął się z potwornych wspomnień, nie czuł ani krzty satysfakcji.

I nie był dumny ze swego orderu, pomimo, że zdobił on pierś niewielu ludzi. Podobno nawet wyrzucił go kiedyś...

Jan Bajkowski

Architektura listów zastawnych

Ilekroć idę ulicami miasta i zastanawiam się nad brzydotą całych szeregów kamienic pozbawionych wszelkiego wyrazu, irytuje mnie to, że właśnie ten, poprzedzający nas okres, aż napęczniały z nadmiaru pieniędzy musiał być pozbawiony najprymitywniejszego nawet poczucia smaku. Nie będę się w tej chwili zastanawiał, czy jest to przypadek, czy też nie — konstatuję jedynie fakt i dziwię się skąd i u nas, w kraju nie ciągnącym przecież zysków z całego świata wzięło się aż tyle pieniędzy, ażeby pobudować za nie tak szybko i tak brzydkie miasta.

Okazuje się, że niewyczerpana inwencja wieku „postępu" dawała możność wydobywania grosza poprostu z niczego. Kto wie, czy najlepszem źródłem nie był właśnie spekulacyjny umysł?

Weźmy naprzykład wynalazek listów zastawnych dających duże możliwości budowania na kredyt, a zrozumiemy wiele, bodaj, że wszystko. Domy powstawały, jak grzyby po deszczu, tak, że wkrótce grozić poczęła obawa nadprodukcji. Stąd wypływała konkurencja. Obwieszone kartkami zawiadamiającemi o lokalach do wynajęcia, obrzydliwe kamienice starały się przymilać przechodniom chwaląc się swemi wdziękami. A więc oblepiały się błotem gipsowem łącząc na sobie odpadki wszystkich stylów — jakie kto woli, do wyboru, komponowały na ścianach całe sceny alegoryczne, tu wsadziły między okna jakiegoś wieszcza, tam znowuż umieszczały postać „z pochodnią oświaty", czy czemś podobnem, która po latach odpadała waląc pierwszego lepszego w łeb, lub w najlepszym razie rozpryskując się o bruk. Wprawiały w okna kolorowe szybki, prześcigały się coraz to obszerniejszemi wnętrzami, byle tylko ściągnąć na siebie uwagę.

A ponieważ był to wiek głoszonego demokratyzmu, stawały się przeto odbiciem rzeczywistości, wyrazem stuprocentowej ...klasowości. Architektura listów zastawnych stawiała kamienice o całym szeregu podwórz i oficyn. Im dalsze podwórza, tem niższy stopień społeczny, na szarym końcu oczywiście poddasza, a jeszcze dalej — suteryny. Przeciwstawieniem ich była główna klatka schodowa, gdzie również obowiązywała ścisła hierarchja: duża różnica dzieliła pierwsze piętro od drugiego, drugie od trzeciego i tak dalej. Kwestją jest nawet, czy bardziej wypadało mieszkać na czwartem piętrze głównej, frontowej klatki schodowej, czy też na pierwszem również głównej (bo były i boczne) oficyny. Zadanie, którego nie jesteśmy w stanie rozwiązać, bo go nie bardzo rozumiemy. Wiemy tylko, że rozstrzygającą stroną była kwestja szczególnie wówczas rozwiniętego t a k t u, który podobno ułatwiał życie, zastępując wiele trudniejszych i kłopotliwszych zjawisk jakiem jest np. szczerość.

Taka gwałtowna produkcja domów musiała być i była brzemienną w następstwa. Wciągała za sobą do miast masy ze wsi dając im zarobek i kusząc pozorami dobrobytu. Powstawały liczne, za liczne warsztaty prześcigające się w wyrabianiu coraz to wymyślniejszych ozdób. Nie czas było na zastanawianie się nad formą, komponowanie; wzory ściągano zewsząd, aby tylko najświeższe. Każdego sezonu budowlanego nowy krzyk mody. A jaki krzyk i że prawdziwy krzyk — to my dopiero dzisiaj możemy powiedzieć.

Wszystko to bierze w dużej mierze swój początek w wynalazku dalekim od sztuki — wykombinowaniu listów zastawnych.

Często się dyskutuje na temat, czy w tworzeniu architektonicznem przewagę ma duch czy technika. Czy łuk nadaje wyraz architekturze rzymskiej, czy też jest ona przejawem potęgi imperjum, czy sklepienie i skarpy dały nam gotyk, czy też specjalna konstrukcja wewnętrzna — człowieka średniowiecznego. Na ten sam temat rozprawiano i na wieczorach dyskusyjnych z okazji wystawy architektury francuskiej w Warszawie poruszając jeszcze równie wiecznie aktualne tematy: kwestję istoty nowoczesności i współczesności, wreszcie sądu nad przeszłością będącego niczem innem, jak odżegnywaniem się od tego eklektyzmu połączonego z zanikiem wszelkiego smaku tak charakterystycznego dla drugiej połowy wieku XIX-go.

Zdawałoby się, że już teraz takie odżegnywanie się niema najmniejszego sensu; wystarczy przecież wziąć dom zbudowany dzisiaj i niekształtne pudło mieszkalne sprzed niewielu jeszcze lat, ażeby dojść do wniosku i raz na zawsze zamknąć dyskusję na ten temat. Może jednak jest coś, co łączy ładny współczesny dom ze starem straszydłem? Spójrzmy — tak się przecież warunki zmieniły! Zamiast nadmiaru pieniędzy, „rozporządzamy" ich brakiem, zamiast szerokiej inicjatywy prywatnej zezwalającej niemal każdemu na wnoszenie rentownych budowli, skoncentrowanie środków budowy w rękach publicznych, które rozporządzają niemi w formie różnego rodzaju funduszów, wnosząc całe bloki mieszkalne. Tu jest, widzimy, źródło nowych zadań tworzenia, gdy nad architektem ciąży obowiązek oszczędności, nieprzekroczenia ani jednego centymetra sześciennego, stąd płynie konieczność takiego rozwiązania, któreby przy takich nawet ograniczeniach dawało wrażenie jaknajmocniejszego wyrazu — w tem bowiem dążeniu m u s i się przecież przejawić artysta, jego ambicja, a nawet chociażby tylko obecność.

Ale — buduje się nie dla samej przyjemności i konieczności tworzenia. Buduje się i nie dlatego, ażeby się wyłącznie nacieszyć wynalazkiem np. żelazobetonu. Punktem wyjścia jest i będzie człowiek. Otóż tym łącznikiem wiążącym architekturę listów zastawnych z architekturą funduszów publicznych jest ich lokator, c z ł o w i e k p r z y p a d k o w y. Tamta szukała go na ulicy, w każdym przechodniu, przymilając się szychem rzekomej swej wspaniałości, wabiąc masą zbędnych i wątpliwych ozdób, ta czeka na przydzielenie jej mieszkańca drogą takiej czy innej zależności służbowej, otrzymującego ten czy inny numer mieszkania aż do następnej zmiany.

Przeciwstawić się temu może tylko idea własnego domu, najskromniejszego nawet, ale takiego, w którym każda cegła muru wiązałaby się z każdym naszym nerwem, takiego, z którym łączyłoby nas nietylko prawo własności dające możność wyzbycia się go, ale przeciwnie, nie zezwalające na to drogą wewnętrznego nakazu, takiego wreszcie, któremu przekazalibyśmy własną swą osobowość, dbając o każdy kąt, najmniejszy szczegół. Czyż wówczas nie stanie się on nowem źródłem bogatej inwencji i głębokich odkryć?

Ludzie miejscy podśmiewują się, mówiąc, że na wsi dlatego jest dobre powietrze, ponieważ chłopi nigdy nie otwierają okien, a jednak większa jest przepaść między człowiekiem zamieszkującym duszną chałupę a mieszkańcem równie dusznego pokoju na czwartem piętrze, w lewej oficynie trzeciego podwórza ,aniżeli skolei nim a lokatorem współczesnego, ładnego, czystego domu „klatki schodowej E nru 196"...

Wincenty Burek

Szczęście Weronki

Ho - ho, czego też tam niema na tym Ocinku. Takich bid, co się to dzisiaj plęgną z tanizną, z długów, z podatków nieudźwignietych, znajdziesz na wsi tyle, że fura kopiasta nie zmieści. A komorników i zakuczników ani się doliczyć przez wszystkie dni roku: tyle tego ciarastwa nachodzi wieś po nieproszonem. No, a odmian najcudaczniejszych, że na ten przykład kto był wkiejś z dostatkiem na górze, to dzisiaj skwierczy najcieniej, też tutaj napotkasz aż zadużo. I to jeszcze, i tam to drugie i dziesiąte będzie się tu miało dla odmiany. A najsampierw — dziewuchy...

W dziewuchy obrodziła się wieś tak suto, że starczyłoby tej materji na długi rospens. Na parę niezłych lat, albo dla trzech wsi do wyboru. Cóż poradzić, kiedy tak wypadło. Nigdy dawniej się tak nie zdarzało, żeby w każdej prawie chałupie dziwkowała i kisnęła latami taka jedna - druga Margośka. Co tam — jedna. Po dwie, a owdzie i trzy panny sieją rutkę i długo, oj, jak długo czekają. Wyglądają kawalira, swojego chłopa, coby nareszcie przerwał to czekanie i zajął, zgłodniałe i samotne, przed ołtarz. Skoro taki już obyczaj i prawo ano nie insze.

Prawo — prawem, a na Ocinku hurma dziewczyc kwitnie i przekwita. Czy nie dziwno się robi, gdy się przeliczy ocińskie chałupy, a później się weźmie panny do rachunku? O, walnie przerastają dziewuchy ocińskie ponad liczbę chałup, pełno ich na graniach, chmarami idą na sumę, aż dzwoni ich głosami droga w niedzielę i stroi się pychą młodej urody. I chodzi se chwała Ocinka stronami, że panien tutaj wbród, że pośmiechu dziewuszego wiele.

A narazie, to do roku wypadnie jedno, a co najwyżej dwa weseliska, i po harapie. A doroku dojdzie do lat pięć — dziesięć szesnastolatek, co będą szukać swojego losu w oglądaniu się za kawalirami i w zabiegu o żeniaczkę... I będą w powodzeniu u chłopaków podbijać starsze kolegatki, nieraz majętniejsze, czasem i urodniejsze. ale zostające w okolnej, cichej wzgardzie. Że postarzały, okwitły i chyba do niczego, bo chłopów se do tej pory nie poszukały. To i mnoży się ten dziewczyński kwiat, bogacieje w ilość dziewczyńskie pogłowie, i ta poroda na dziewuchy zmajstrowała tyle, że chłopczyska okoliczne nie mówią już jak dawniej — „na Ocinku", ino z prześmiechem — „na Dziwkowie".

Dla chłopaków uciecha i śmiech, a dla matek nic oprócz troski i zgryzoty. Dorośnięte córki nie mogą im zejść z myśli, ni chwili nie dadzą zabaczyć o sobie. Tu morgi czekają, wiano naładowane, pora naszła akuratna, a przy tem wszystkiem, laboga, jakoś nie może się im nadać żeniaczka. Lata lecą, roków dziewusze przybawiają, i dokądże, Bożeż kochany, będzie się dzieckowina tyrała przy ojcach, zamiast na swojem, z chłopem, z przychowkiem.

— Oj, odmienił się świat i zepsuł doimentu — biedzą matki zawsze, ilekroć zgadają się o swoich ciężkich zgłobach. Jedna przed drugą rada roztwiera swoje żale, bo wiedzą, że jednakowa turbacja gnębi wszystkie narazem, to cóż tu się chować ze zmartwieniem, choćby tak delikatnem i bolącem. jak to najnamolniejsze i tak bliskie matczynemu sercu.

— Ze sie odmienił, to odmienił. Święto prowda — potakuje nieodmiennie każda i nie przepomina o pospólnej myśli:

— A dyć choć i te dziewcyce...W jaki to deces, moiściewy, popadły teroz, ej! Siedzą i siedzą. Postarzeją się, i co bedzie?

— A nie mówcież tak. Toby było dopiro, ze jaz strach oblatuje, I moja i wasa...

— Miałam szesnoście lot, jak się zeniłam. A jaką sie wom cizbe miało tych kawalirów! Sami poreście wicie.

— Juści pamietom. Teroz inse casy. Bida.

— To bida winna, nie co inse. Chłopoki sie bidy boją i cekają lepsego casu.

— „Na bide sie bede zenił? Abo mi to nowała? Mom jesce co jeść u ojców, co mi tam" — słysałam sama taką godke. To bez to...

— Bez ten kryzys jakisić.

— I dokądze, dokąd? Wkiej bedzie kuniec złym casom?

— Wkiej?...

Wygwarzają się sąsiadki, wyżalają. Ciężko im zwalić ugniot kłopotu, co oto narodził się z czasu złego, niepamiętanego za ich młodych lat. Z czasu, któremu koniec kiedyż przyjdzie wreszcie? Żeby wrócił dawny obrót rzeczy „żeby tak przyszedł do ładu dawny układ życia! W stytłanych twardem życiem twarzach rozłożyła się bezprzestanna troska i zafrasowanie, oczy gasną od udręk i mordęgi, myśli się mącą bez widoków na rychłą odmianę.

Matki dziewuch ocińskich mają dzisiaj z losem swoich córek — trzy światy. Żeby nikt dobry nie miał tyle kłopotu!...

*

Kłopot z córką ominął Radosową. Nawet nie nadążyła popatrzeć, jakato panna wyrośnie z Weronki, i nie stanął wcale przed nią ten czas, na ładowanie wiana przeznaczony i do wesela sposobny. Zabrała się kobita na tamten świat, zbyła się kłopotu przed czasem, a ty, Weroniś, ostajże z Bogiem i radź se ta z dolą dowielamożności. Ostoje ojciec i braty, to nie zagubisz się w bezradzie, sieroto.

Kto z obcych popatrzyłby wtedy na Weronkę, spewnością nie dałby jej więcej ponad dziesięć lat, choć naprawdę mijało jej czternaście. Jakoś te lata nie dopomagały, żeby Weronka rosła wzwyż, tak jak one rosły. Była z niej malutka dziewczynina, ropył tyci, turkający się po ziemi nikiej kulka. Rówieśnice wrychle przestały się z nią bawić i kamracić, taka była śmieszna i nieporadna w małości. Sprzymierzyła się z młodszemi od siebie, ale i te wkrótce od niej odstały.

— Ij, Weronka... — wydziwiały chórem — Odmieniec i juści.

Dziewuszki — rówieśnice mówiły prawdę. Weronka była niepodobna do nich nietylko samym wzrostem maławym i posturą zapyziałą. Odmieniła się jej gwara, zalatująca dziworacznie grubą nutą, jakże niepodobną do cienkich dziewczęcych głosów. Jakby basy siedziały jej w gardle i mruczały stamtąd szorstko i niekobieco. Do tego jeszcze przyłączyła się ta mina w całej twarzy, w składzie ust i w patrzeniu dużych, czarnych oczu. Z tej miny wyglądała roztropność, wczesna powaga, i widać było, że siedzi w Weronce jakiś djabełek uporu i odwagi, co się niczego nie przelęknie. Rówieśnice nie bez zdania racji stroniły od Weronki, tyle inakszej od nich wszystkim składem usposobienia i wyglądu. One szukały kucznej wesołości, niefrasobliwej pustoty i hopki. A Weronka zawsze wszystko psuła i zamącała.

Nie zapłakiwała się wcale, kiedy matkę pochowali pod cmentarną brzecicą. Insza dziewuszka buczałaby po kątach żywemu Bogu i miejscaby se w żałości znaleźć nie mogła. Po Weronce ta matczy na podróż w niepowrót spłynęła jakosić lekko i bez krzyku, że aż wszyscy wydziwiali:

— Ale tyz kwarda, kwarda. Jakby to nie ji matce capneło. O, nawet nie zapłace, ani sie przed kim wyzoli, a ino trypci za robotą przez całuśki dzień. Co za dziewucha.

A jak się kto litował nad nią i labiedził, czego zwyczaj w takim wypadku, to wtedy prostowała się z podufałą miną i chłopskim swoim głosem prawiła:

— Umarli, to umarli. Choćbym se ocy wypłakała, to i tak na nic. A robota cekać ni moze.

W dużych, ciemnych, bałoniach palił się pod ten czas uparty ogień i siła, mała figurka zdała się rosnąć w takim razie i śród podobnych słów, niepasownych do dziewuchy i wieku. „Robota czekać nie może".

Robota. Było jej w obejściach po uszy. I niemal wszystka ona na młodej głowie dziewuchy. Ojciec-starowinka kwękał na dogryźliwe słoboście przez cały prawie rok, i więcej koło niego trza było zachodu, aniżeli żeby w robocie poskucił. Braty rozchodziły się za swemi dłubkami: Jasiek grzebał w polu i w stodole, a półgłupek — Syberek ganiał za gołębiami, ową jedyną radością w biednem życiu cudaka. Mogli Weronce dopomóc wtenczas, jeżeli zdążyła załapać ich w porze jadła. Sama jedna jak dzień długi uwijała się niby furczka około przeróżnych prac i zawsze jagoś zdążyła na czas się obrobić. Oddawiendawna chowało się u Radoszów moc rozmaitej gadziny domowej, nie ubyło jej i za rządów młodej gospodyni. Świnie wywoziły się na jarmark jak dawniej, gęsi, kaczek, kur jakby nawet przyrosło. Zręczny zachód Weronki około gospodarstwa w niczem nie dał poznać, że zabrakło dawnej, biegłej gospodyni. I dziw brał, że młoda kusiajdka ma w sobie tyle umiejętności i skutecznej rady, żeby wszystko w domu i oborze akuratnie naładzić i pokierować na pożytek. Dziecko przecie jeszcze. Dziwczak nieletni.

Wieś oglądała coroczny plon Weronczynej pracy i, chciała czy nie chciała, musiała po sprawiedliwości pochwalić dziewuchę za ten jej trud nie do wiary. Ten trud aż błyskotał z krów, świń, dorodnego ptactwa, z chałupy, obielonej galanto po wierzchu i czysto ocharuzonej we środku. Gospodynie kiwały głowami w pochwale głośnej, a po cichu zazdrościły sierocie talentu i jeszcze ciszej wzdychały nad swojemi córkami, co im w głowie ino stroje, zabawy, śmiechy z chłopaczyskami, a do roboty trudno dognać.

— Zuch, zuch dziewucha — przewijało się wciąż teraz, jeśli gadka zeszła na Radosów, a osobliwie na młodą gosposię.

Zaś oczy rówieśniczek i starszych dziewcząt aż wyłaziły z zazdrości, bo i cóż poradzić, kiej ci kłuje oko cudza zdatność i wyrób, a jeszcze bardziej, że u takiego odmieńca i niećwieji, z którym kiedyś ani się było bawić, ni pogadać o czemś wesołem. I oto jeszcze więcej, że chłopaki copoważniejsze mają dla Weronki tyle dobrych, chwalących słów. Zazdrość sili się na wzgardę:

— W ziemie wrośnie, jesce wiecy przypyzieje, jak tak bedzie harować bez przestanku.

A harowania przybywało coraz więcej, kłopoty się lęgły coraz insze, bo ojcosko zaniemogło szkaradnie, brat Jasiek pohamrał się o swój działek wóli żeniaczki, i robić się mu nie chciało, a ten Syberek zbiesił się już na amen, że ino podkradał co się dało, na gołębie, na znistę. Weronka musiała załatwiać jarmarki, podatki i wszystek rząd gospodarski. Trzymała gospodarkę krzepko i bez nijakiej ochyby. Twardy i zaharowany nadleciał jej niewiodku wkiej — siedemnasty rok.

*

Roi się sandomierski rynek w targowy dzień. Jeśli pogoda stanie akuratna, to aż się kłębi na rynku od chmary ludzi, koni, wozów. Temci więcej jeszcze dzisiaj, o przednówczanej porze, kiedy mus tłamsi i ostatnią ćwiarteczkę zboża każe wywieźć na namolną potrzebę. A tam za ratuszem pstrokacieje od bab, co się porozsiadały i postawały na kamieniach bruku i targują pieniądz za masło, serki, kury czy za jaki woreczek z suchą jarzyną. Śród obstarnich kobit. jak równa równym, jest tam i Weronka.

Dawno tu już dulczy, ale się nie pośpiesza ze sprzedażą. Co i raz dopytują się paniusie, ileż się ceni ten jej towar z kurnika; paniusie radeby nawet kupiły te dwie kwoki, bo tłuste i ciężkie w rękach, cóż kiedy Weronka droży się i zacenia wysoko. Taki ma obyczaj, że nie popuści grosza i lubi wytargować ostatnią możność kupna. Ucieszniej jej tak se przebywać w mieście ze sprzedażą i targować małopomału pośród wiekowych, poważnych gospodyń.

— Dołozy pani jesce pół złotówki?—upiera się przy swojem. Jest ładnie ogarnięta, spod czerwonej krakowianki błyszczą ciemne oczy a w jagodach pali się ogień młodości, zdrowia i butnej uciechy, sama nawet nie wie, jak udatnie jest jej w tym wyglądzie. Śród suswałów podniszczonych, zetlałych w pracy i starości bab odróżnia się wyraźnie, jak leśny, pachnący kwiat między rudemi mchami. Zajęta targiem, nawet nie widzi, co się dzieje poza koliskiem handlu.

To nie spostrzegła, że patrzą na nią zboku ciekawe oczy chłopaka. Gibki i strojny, wsparł się o latrę wozu i śledził uważnie małe stworzenie, takie ładne i takie uparte, a roztropne w targu. Zastanowił go ten mądry skład w maluśkiej kobitce, wesoło wsłuchiwał się w szorstki, twardy głos, tak niepodobny do osoby. Długo nie odchodził z miejsca, stał nieporuszony i czujny, dopiero brzęk pieniędzy, wykładanych na rękę dziewuchy, i jej ruch ku odejściu odkleiły go od przyjemnej warty.

— Muse wiedzieć, co to za jedna. — I poszedł za Weronką.

Weronka długo chodziła po sklepach za sprawunkami i kupowała, co potrzeba w domu, i tyle tego, że koszyk walnie zaciążył jej w rękach. Śpieszyła się, żeby jednym tchem powrócić do dom do obrządku.

I wtedy właśnie miało się stać to, co jej było pisane w nieznanych wyrokach. Zwyczajnie się odbyło, tak prosto i zwyczajnie, że popóźniej, kiedy se wspominała tę dobrą chwilę, nijak nie mogła znaleźć w niej niczego takiego, coby ją stroiło w blask niezwykłości. Chwila, kusiołeczek czasu mały, i ani wiesz, co się w tym kusym przeciągu czasu może narodzić. Że oto samo szczęście wyjdzie ci naprzeciwko.

— Cheba ciezy ten kosyk. Tyla różności...

Obróciła się ciekawa. Zobaczyła życzliwe, tchnące ufnością spojrzenie nieznanego chłopaka. Przystanęła i zapatrzyła się w niego, słodki niepokój zatrzepotał w sercu. Nikt dotąd na nią tak nie patrzył. Ani tak miło nie zagadał. Zaczerwieniła się i nie wiedziała już, co powiedzieć. Zagubiły się słowa, porozsypywały że ani ich odszukać ku pomocy.

— To jo poniese. Taki duzy ten kosyk.

Ta chłopacka nieproszona ochota jeszcze więcej ją zmieszała. „Kpi se, zem mała" — przeleciało migiem po głowie. Ale nie, chłopak wyciąga rękę i dotyka pałąka. Chłopak wcale nie myśli żartować. „Co tyz un plecie — kosyk mu dać! Coby ludzie powiedzieli. Kawalir z kosykiem na jarmaku, świat sie kuńcy" — porwane myśli Weronki goniły się i rozbijały o siebie. Stała na jednem miejscu i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Gdzie się podział ten jej upór i ta odwaga na wszystko? Zła była strasznie na siebie.

Chodnikiem szli ludzie w obie strony, nieśli swoje radości i troski, gonili swoje sprawy i interesy i mijali tych dwoje, ani wiedząc, co się między nimi wykluwa. Ktoby tam chciał trudzić się cudzemi rzeczami? Ot, stoją se młodzi, więcej patrzą na siebie, niż gadają, no to co? Jak widzą w sobie co ciekawego, to niechta.

— A moze odprowadzić za miasto? — Chłopak zauważył, że ni w pięć ni w dziewięć narzucił się z pomocą i tylko tem przestraszył dziewuchę. Żeby naprawić się w jej oczach rozwiódł gadkę o sobie i o tem, czyby nie mógł przyjechać do niej w goście, zaraz, o już w tę niedzielę, co przyjdzie. Czy byłaby mu rada, czy aby się go nie odrzeknie?

Weronce zdawało się, że nie idzie pylną, kopną drogą, ale leci na skrzydłach jakiegoś wesela, którego nazwać nawetby nie spotrafiła. A obok niej płynie i wlewa się w nią gorącą falą ten szept, tak miły i jarzmiący...

— — — — — — —

Wszystkim na Ocinku wyłaziły oczy z podziwienia, kiedy zobaczyli kawalira, co do Weronki Radosówny przyjechał w zaloty zaraz w niedzielę po tym jarmarku. W głowach nie mogło się pomieścić, że taka młoda i nieurosła dziewczynina, a znalazła se kawalira. I to w takim czasie nieporęcznym. A jakiego jeszcze kawalira! Z dalszych stron, światowca, zucha, a i nie bidaka. Pieniądze duże pono ma i nie szuka, wicie, bogaczki, a tylko chce tę Weronisię, co nie więcej od czterech chudych mordzyn wypadnie za nią z nadziału. Cud to prawdziwy, laboga świętego!

— Świat sie przewraco, abo co — symitował się na Ocinku każdyjeden. — Tyle panien bogatych i prymnych dziwkuje jesce, a taki smark sie zeni. Cy tak sie nolezy?

— No a cóz, cy to ji nie wolno? — ktoś próbował tłumaczyć. — A poreście, cy se nie zasłuzyła robotą i wszystkiem? Mówie wom, ze któro jak któro, ale Weronka, o, una jedna mo prawo do tego sceścio, co sie ji sykuje. Zeby kazdo tyle sie napracowała i tyle dobrego zrobiła, toby było wsedy dobrze. Gospodyni z Weronki bedzie, na pokoz bedzie. I swojego chłopa jesce zakasuje, zobocycie!...

Parę tygodni przeminęło, i zahulała wieś na Weronczynem weselisku. Wynośne było i dobre, że ino go chwalić pełną gębą. Chałupa aż się rozdymała od gości, od gwaru, od muzyki porywistej.

A trzydzieści kilka druhen — Ocinianek popatrywało w tańcu i przy weselnym stole na jej szczęście. Tej Weronki - odmieńca, co ni to kiedyś do zabawy, ni do gadki...

Miłosz Gembarzewski

Z cyklu: Spowiedź mazowiecka

XIII.

To jest, na podniesienie, dzwon pieśni,
We wnętrzu spowiednego wyznania.
Ciemne stalle, objawione z pleśni,
Błyszczą jasnością oddychania.

Mój grzech, w przysłowiu: „Nie dbam" — o siebie. —
Rzucam precz! jak niechrzczony dźwięk dziki.
Przez chwilę, na powietrzu się kolebie
I trzaska — o prezbiterjum świeczniki.

Zapłaciłem już bolesne grzywny,
Rysą w czole, spiętych nerwów mordęgą;
I zeznaję, wszystko pod przysięgą,
Żem z krwi ciała, lecz nie przeorywny.

A jeśli — rzucę miłość, i chleb ciepłą ręką darowny,
Gdy moich imion dziedzicznych nie zmienią chrzciny;
Kiedy, dla oczu, nowy jestem — okrutny, ale do ławi słowny:
Niemasz winy! ani wielkiej winy.

XIV.

Choć mojem życiem wolnem miałbym sobie życie skrócić,
Lecz odejdę, drogą lipowych szumień.
I nie wrócę; bo gdzież mam wrócić?
Przymknięte rumowisko zadusi! pyłem stłumień. —

Przerwana wiosna. Omdlało poczęcie w ziarnach i w ciele:
Płateczki, w pąku za małym, pomięte.
To w gardle było przez chwilę dławień upalnych za wiele,
Gdy murów cienie szerokie głuszyły piosnki święte.

Wysiłkiem, życie chłonącym, rośnie wiklina od ziemi;
Na nieboskłonie się szerzy pryskających szczelin trzask złowrogi,
Rozgniatając ciężarem łodygę dzbaneczników drżących,gdy nad niemi
Przeszedłem, nie wstępując w zamknięcia, w opłoty, progi. —

Choć mojem życiem wolnem miałbym sobie życie skrócić,
Lecz odchodzę, drogą lipowych szumień;
I nie wrócę, bo do mnie jeno lud musi wrócić,
Aby spojrzeć w światła strumień.

Jest pole, niebo — dla mnie, po burzy, kwietniowe,
Przy wielkiej drodze, nie kończącej się skrycie;
I ja wolny, widzę na niej szczęście nowe:
Moje życie.

XV.

Zrąbałem pogańskie pniaki — z prawa i z lewa, —
I tylko wierzby sadzę... coraz wyższe, prostsze.
Niskopienne znikają garby; niezmiatając dróg, powietrze nagrzewa
Gałęzi srebrnie listwionej, wyciągnięte wiatrami ostrze.

Skorupy naniesione, blichtr z cudzych szmat wybierkiem,
Odrzucam! choć się burzy śmiecia podarty krater.
Już tylko w sosnach, wierzbach, i jeno żytnim szczerkiem,
Chodzi, dychając silnie, mój mazowiecki wiater.

Ale mnie nie dość! sadzić i siać na wyciętem, skruszonem
Podłożu dla moich wrzosów - kadzideł, borówek lęgu.
I taka jest moja wola, by przechodzić pod wierzbą zagonem,
A po niezapominajek piosence, żyję w dębów najwyższych zasięgu.

Świątynia wieśniacza jest moja. Twarz własną okazuję światu.
Żyję bez udania, wyszedłszy za niewolnictwo gminne,
Powiedziałem siostrze naszej, i naszemu blademu bratu,
O mem prawie, nad nich wzniesionem: moje wilcze prawo inne.

XX.

Pewno wokoło przeszła burza,
Bo chłodem mój widnokrąg płynie,
I tylko z wiatrów się wynurza
Płomienność życia w mgieł rozczynie.

Olbrzymią mocą wydźwignięta,
Na szarem polu przed wikliną;
Ponad skrzydlate gniazd panięta,
Lecące chmurą srebrną siną. —

Ujęty w płomień tej kolumny,
Domu bez ściany i powały,
Usłyszę powiew tłumny, szumny,
Rozwidniający i zuchwały. —

— — — — — — — —

To gwiazda w stołb dębiny śmigła;
Choć obcy dziwni, patrząc zdala,
Myślą, że w polu się zapala
Samotna rdzawej sosny igła.

Michał Szymański

Historyczny pałac w Białymstoku

Pałac Branickich w Białymstoku należy do rzędu najciekawszych w Polsce budowli pałacowych pierwszej połowy osiemnastego wieku. Pierwotne swe założenie zawdzięcza Stefanowi Mikołajowi Branickiemu, wojewodzie podlaskiemu, który około roku 1703 wystawił skromne dworzyszcze w stylu t. zw. toskańskim. Syn jego, Klemens Branicki, przedostatni hetman, a ostatni z podlaskiej linji Branickich (* 1689 † 1771), szanujący pamiątkę po ojcu, nie chciał jej niszczyć, lecz przystosował do wzrastających swych potrzeb i wymagań, włączając z pietyzmem pierwotne mury w nowowzniesioną przez siebie budowlę.

Nowy pałac, drugi pod względem wspaniałości po rezydencji królewskiej w Warszawie, był godną siedzibą hetmana, twórcy całego miasta (podobnie, jak Zamoyski był twórcą Zamościa), długoletniego pretendenta do tronu, spokrewnionego z królem Stanisławem Augustem przez małżeństwo z siostrą jego Izabellą.

Wtłoczony obecnie w mury ruchliwego. fabrycznego ośrodka, leży w jego centrum, nie jak niegdyś w ciszy wspaniałego ogrodu, obejmującego i dziś jeszcze wielką przestrzeń.

Pierwotny pałacyk, założony jak wyżej wspomniano, przez Stefana Mikołaja Branickiego około 1703 roku *), był utrzymany w



Pałac Branickich od strony miasta (stan obecny).

stylu toskańskim, na co wskazuje oblicowanie ścian i elementy architektoniczne, np. kolumny i rustyka parteru. Budowę dzieliła w pośrodku wielka sień, prowadząca do czterech alkierzy, które stały się podstawą bocznych ryzalitów głównego korpusu w pałacu nowym. W prawem i lewem skrzydle umieszczone były okrągłe klatki schodowe w kształcie wieżyczek; ślad jednej z nich odkryto na parterze w głównym korpusie pałacu. Jak świadczy zachowana do dzisiaj jedna z sal na parterze, parterowe komnaty mieszkalne miały barokowe sklepienia krzyżowe, a ponieważ na piętrze znajduje się pałacowa kapliczka z kopułą i latarnią, utrzymane również w duchu baroka, można na tej podstawie sądzić, że i inne sale takiż miały charakter, oraz, że pierwotna budowla była piętrowa. Zarys jej dałoby się dokładniej określić przy badaniu wątka muru w podziemiach.

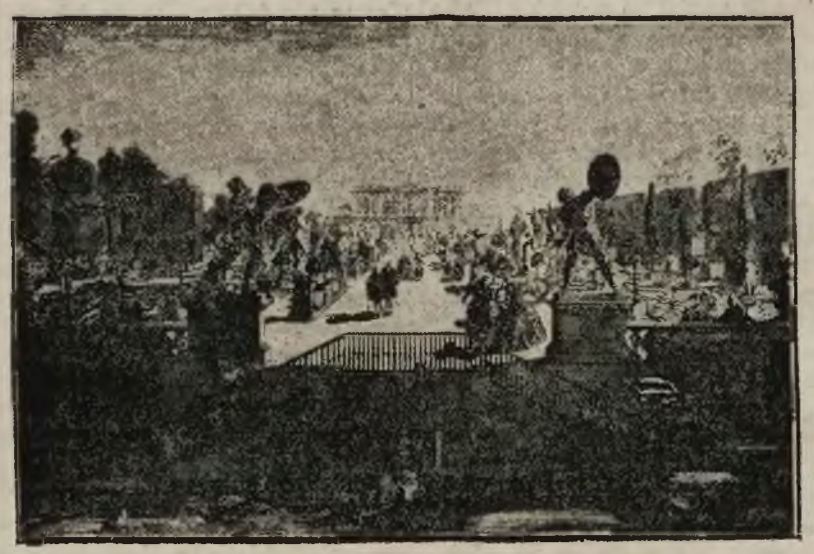
W nowym pałacu rzuca się odrazu w oczy komfort i dążność do wygody. Przez bramę trzyosiową, z kolumnami o porządku toskańskim, której jednak górna część zdaje się być późniejszym dodatkiem, dostajemy się na podwójny dziedziniec. G. Łukomskij w pracy „Białostokskij dworec" na str. 16 tak ją opisuje: „We wjazdowych kamiennych wrotach umieszczony jest u góry wielki zegar z wagami, z kompasowemi wskazówkami i dwoma dzwonami, wydzwaniającemi godziny i kwadranse. Górna część wrót ma kształt piramidy, pokrytej blachą, przyozdobionej pozłacanym gryfem, trzymającym w szponach tablicę z pozłoconym inicjałem J. B. na niebieskiem polu. Do samej góry brama pokryta jest gipsową sztukatorską ornamentyką".

Wspomniane dziedzińce, z których jeden zewnętrzny (avant - cour), następny zaś reprezentacyjny (cour d'honneur), są przedzielone murkiem, z pawilonikami, zakończonemi kopułką i latarnią. W przejściu, na wyniosłych postumentach, stoją dwa posągi kamiennych Herkulesów, pod któremi hydry: jedna o trzech, druga o pięciu głowach. Rzeźba ta w niespokojnym ruchu jest wyrazem rokoka, lecz traktowanie jej podstawy zapowiada już styl Ludwika XVI. Obszar tych dwóch dziedzińców stwarzał szeroką perspektywę na fronton pałacu, rozwinięty równolegle do wjazdu, z przylegającemi doń pod kątem prostym skrzydłami. Pałac został założony na sposób francuski, między owemi dziedzińcami, a ogrodem, o którym mowa później.

Korpus główny, składający się z członu środkowego i dwóch parterowych pawilonów bocznych, z gankiem niegdyś ozdobionym figurami, dziś zastąpionym nadbudówką, jest po bokach oflankowany piętrowemi przybudówkami, ożywionemi arkadowaniem i mieszczącemi pokoje gościnne oraz kuchenne. Środkowy człon posiada trzy kondygnacje, z których dwie wyższe są podzielone pilastrem o jońskich kapitelach. Rytmika pilastrów i tryglifów jest jakby bliskiem echem francuszczyzny z czasów Ludwika XVI. Dach korpusu środkowego otaczała balustrada, nad nią zaś wybijał się duży posąg Atlasa, dźwigającego kulę ziemską. Całość podzielona jest na trzy ryzality, z których środkowy ma wejście o sześciu stopniach i wiszący nad niem balkon, podtrzymywany dębowemi konsolami, obrzuconemi tynkiem, nad bocznemi zaś miały się wznosić kopułki, uwidocznione na rysunkach elewacji z wieku XVIII, znajdujących się w Gabinecie Rycin przy Uniwersytecie Warszawskim. Monumentalną całość pałacu wzmacniają w znacznej mierze kolumnady skrzydeł bocznych, posiadających dach, zasłonięty częściowo attyką i pokryty dachówką, lub blachą miedzianą.

Fasada od strony ogrodu, utrzymana jest w „guście toskańskim, o środkowym ryzolicie z tympanonem. Zgodnie z inwentarzem z r. 1772 miała być ozdobiona drewnianemi figurami i galerjami. Elewacja ta przypomina w całokształcie frontową i jak tamta ma w parterze boniowanie rokokowe, t. zw. „deseczkowe". Ryzality boczne są tu znacznie szersze, mianowicie trzyokienne, dzięki czemu fasada od tej strony robi wrażenie dłuższej. Przybudówki są z otwartą galerją, opartą na bliźnich kolumnach toskańskich.

Dekoracja wnętrza w guście francuskim najzupełniej odpowiadała zewnętrznemu charakterowi, tak pod względem smaku, jak i wspaniałości. Poza drobnemi odcinkami, całość była wykonana w stylu L. XV z wyjątkiem prawego skrzydła, gdzie przeważał styl t. zw. Stanisława Augu-



Ogród i pałac Branickich (sztych Reutza — Gabinet Rycin St. Augusta)

sta. Ściany wykładane gdzieniegdzie boazerjami, zaś pułapy i sklepienia ozdobione artystycznie stiukami.



Figura Djany w ogrodzie pałacu Branickich.

Komnaty hetmańskie mieściły się po prawej stronie głównego pawilonu (dzisiaj mieszkanie wojewody). Szło się do nich przez westibul z belkowaniem wspartem na dwóch podwójnych kolumnach z czarnego marmuru o kamiennych podstawach i z głowicami w stylu jońskim. Piękna w rysunku, miękko zaokrąglona, założona osiowo klatka schodowa, podparta jest dwiema figurami niewolników, kutych w piaskowcu, zaś u samego wejścia na schody stoi marmurowa figura szlifierza (rotatora), ostrzącego nóż. Pierwsza z sal była „antykamera", której ściany były zawieszone cennemi obrazami. Wisiała tu również, jak i w innych salach, marmurowa głowa Stefana Czarnieckiego[2]), który był pradziadem hetmana po kądzieli i któremu w 1661 r. nadał król Jan Kazimierz m. in. i dobra Białostockie. Sypialnia hetmańska obita zielonym adamaszkiem, miała piec z gdańskich kafli i zegar paryski. W pasażu, łączącym sypialnię z gabinetem, wisiały obrazy treści religijnej oraz znajdował się klęcznik. W gabinecie, m. in., mieściły się portrety: Piotra Wielkiego, Augusta III i emaljowany portret króla Jana III. Dalej „buduar" hetmana, dwie garderoby i pasaż, potem sień, pokoje „paryskie", sionka i sień przed skarbcem. Na piętrze była sala „wielka", zdobiona pilastrami, z sufitem al fresco; pokój „złoty" z obiciem z karmazynowego adamaszku haftowanego w złote pasy, dwa gabinety i garderoba. Pozatem były jeszcze pokoje królewskie, „chińskie", sala stołowa z boazerją, kaplica również boazerją wykładana z kopułą, zdobną sztukaterją gipsową i freskami. Ponadto pałac posiadał piękną, obszerną salę teatralną, zwaną „komedjalną" z kurtyną pendzla Mirysa (1700 † 1785).



Fasada ogrodowa pałacu Branickich (stan obecny).

Apartamenty hetmanowej zajmowały lewą stronę pawilonu środkowego (dzisiaj gabinet Wojewody, utrzymany jakby w charakterze Germain de Boffrand i Sekretarjat).

Historja budowy hetmańskiego pałacu z okresu końca wieku XVII i pierwszej połowy XVIII w. oraz nazwisko architekta nie są znane. Decydującem źródłem w tej sprawie mogłyby być prawdopodobnie archiwalja rodzinne, znajdujące się przypuszczalnie w archiwum Branickich w Rosji. Dostępne dla nas narazie są jedynie rewindykowane niedawno z Rosji, a znajdujące się w Gabinecie Rycin przy Uniwersytecie Warszawskim rysunki architektoniczne pałacu z wieku XVIII, pochodzące ze zbiorów króla Stanisława Augusta, a wykonane prawdopodobnie na zamówienie hetmańskie. Wielką pomocą w odtwarzaniu ówczesnego stanu pałacu jest również inwentarz, składający się z księgi o 604 kartach in folio, przechowywanej w Głównem Archiwum Wileńskiem syg. 8904, — i sporządzony pieczołowicie w rok po śmierci właściciela t. j. w 1772 r., i odnoszący się specjalnie do urządzenia wewnętrznego. Wreszcie historję zabytku można odtworzyć przy analizie samych murów, która odsłania nam niejedną tajemnicę pałacu. Dopomagają temu również zdjęcia pomiarowo - inwentaryzacyjne dokonane przez Zakład Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej. Starano się również wykryć twórcę pałacu, lecz dotychczas rezultaty poszukiwań nie są zadawalające, wiadomo jedynie, że mógł on pochodzić ze środowiska francusko - saskiego, w którem obracał się z lubością sam hetman. Podawane przez Łukomskiego[3]) nazwisko Antoniniego nie jest do przyjęcia, nie będąc niczem przez autora poparte. Możnaby raczej połączyć to dzieło z nazwiskiem Jana Knöffla (1686 + 1752) za czem przemawiaćby mógł rozmach i równocześnie powaga samej bryły, jako charakterystyczne cechy w jego twórczości oraz to, że oddalona o 12 km. od Białegostoku ruina letniej rezydencji hetmańskiej, będąca jakby miniaturą pałacu miała być dziełem tego artysty [4]) (pałac w Choroszczy — zdjęcia architektoniczne w Gabinecie Rycin przy Uniw. Warsz.). Rozwiązanie zagadki przyniesie nam może zamierzona publikacja Prezesa Koła Miłośników Zabytków w Białymstoku Jana Glinki. W każdym razie, architekt, który stworzył ten pałac, musiał być wybitną siłą. Świetnie pomyślany w bryle, logicznie i w pełnej harmonji opracowany łączy się poszczególnemi partjami w znakomitą całość.

Po śmierci hetmana (+ 1771), świetna rezydencja poczyna się chylić do upadku i po zgonie małżonki jego w 1809 r. zostaje nabyta od Potockich (sukcesorów Branickich) przez Aleksandra I na jedną z letnich rezydencyj. Po fakcie tym przechodzi okres gwałtownie dokonywanych przeróbek, trwających jeszcze za Mikołaja I przy zamienianiu pałacu na Instytut Maryjski (1841 r.).

Dokonane przez Rosjan zniszczenie w ciągu wieku XIX spowodowało nasze władze konserwatorskie do żmudnych, nieraz wprost odkrywczych prac nad przywróceniem zabytkowi dawnej szaty.

Równie wielkiemu zniszczeniu uległ wspaniały niegdyś ogród pałacowy (miedzioryt van Geldera), niesłusznie nazywany włoskim, założony na sposób Le Nôtre. W regularnych alejach stało niegdyś wiele bezcennych figur kamiennych, sprzedanych na początku XIX stulecia do Włoch i Francji, oraz mieściły się fontanny, kaskady i baseny dla ryb. W końcu ogrodu górnego, przy zejściu do basenu w niższym ogrodzie, znajdowały się dwustronne schody kamienne z dwoma, przypuszczalnie tu niegdyś stojącemi, posągami wspaniałych gladjatorów, jak wskazuje współczesny sztych Rentza (zbiory Gab. Rycin przy Uniw. Warsz.). Na miejscu tych gladjatorów stoją obecnie dwa kamienne sfinksy, z siedzącemi na grzbiecie amorkami, trzymającemi girlandy z kwiatów, utrzymane w charakterze filuternego rokoka w pomieszaniu z surowym stylem L. XVI i pochodzące najprawdopodobniej z drug. poł. XVIII w.

[1]) Rokowski Z.: „Pałac Branickich w Białymstoku", woj. Białostockie, 1929 r.

[2]) Inwentarz, znajdujący się w Głównem Arch. w Wilnie.

[3]) Łukomskij G.: „Biełostokskij dworec", czasop. „Staryje gody", Petrograd, 1915, III.

[4]) Zbigniew Rewski: „Działalność Architektoniczna Warszawskich Fontanów"; Biuletyn Historji Sztuki i Kultury Nr. 4/34. Warszawa.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

AJNENKEL E.: Pierwsze oddziały Legjonów Polskich w Łodzi. 12 — 29 Października 1914. 8°. Str. 47. Łódź, 1934. S. Seipelt. Zł. 1.50.

ANDERSEN H.: Wybór baśni dla szkół powszechnych w tłum. C. Niewiadomskiego i A. W. 8°. Str. 93. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.70.

BABICKI J. i MAYKOWSKI S.: Okno na świat. Szósty rok języka polskiego w szkołach powszechnych, z objaśnien. 8°. Str. 372 i 28. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 1.90.

CYWIŃSKI H.: Podróże, ewolucje, batalje morskie w ostatniem półwieczu. Pamiętniki „starego admirała" 1875 — 1925. 50 lat na oceanie, z mapą podróży i licznemi fotogr. 8°. Str. 235. Wilno, 1934. Główna Księg. Wojskowa. Zł. 6.

CZAYKOWSKI J.: Beskid wschodni. Szlaki turystyczne w dorzeczach Prutu i Czarnej Bystrzycy, z ilustr. 8°. Str. 78. Stanisławów — Jaremcze, 1934. R. Jasielski. Zł. 1.50.

DELARUE - MARDRUS L.: Niedoświadczona. Powieść. Przekład M. Rafałowicz - Radwanowej. 8°. Str. 200. Warszawa, 1934. Księg. Popularna. Zł. 4.

DROMLEWICZOWA Z.: Nad polskiem morzem, z ilustr. 8°. Str. 220. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Kart. Zł. 7.50.

FILLEBORN A. J.: Poezje. 8°. Str. 27. Warszawa, 1934. F. H. Zł. 2.

GADOMSKI W. Ks.: Wspomnienia z Tatr. Gawęda biwakowa. 8°. Str. 40. Kraków, 1934. Księgarnia Krakowska. Zł. 1.

GRABOWSKA M.: Żółty dom. Powieść. 8°. Str. 262. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

JAROSZ W. i KARGOL A.: Opowiadania z dziejów ojczystych dla kl. VI szk. powsz. z 100 ilustr. i 19 planami i mapkami. 8°. Str. 239. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 1.50.

KARCZEWSKI ST.: Geografja Polski dla kl. I gimn. z 222 ryc. i mapką. 8°. Str. 256. Lwów, 1934. Książnica Atlas. Zł. 2.10.

Kodeks handlowy z przepisami wprowadzającemi Rozp. Prez. Rz. z d. 27.VI, 1934 z dokładnym skorowidzem alfabetycznym. 8°. Str. 232. Lwów, 1934. M. Bodek. Zł. 2.50.

KOWALSKI A.: Lutnia w tornistrze — z przedmową J. Kaden-Bandrowskiego. 8°. Str. 109. Warszawa. 1934. Główna Księg. Wojskowa. Zł. 3.20.

Książeczka Jubileuszowa Jubileuszu Odkupienia 1934 — 1935. 8°. Str. 78. Poznań, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 0.50.

LIPPERT P. Ks.: Bóg i świat. Przeł. Ida Kopelecka. 8°. Str. 161. Kraków, 1934. Wyd. K. Jezuitów. Zł. 1.40.

LISOWSKI J.: Przegląd porównawczy kończyn kręgowców z tablicą schematyczną. 8°. Str. 38. Puławy, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.20.

ŁOMNICKI A.: Geometrja dla kl. II gimn. z 126 ilustr. 8°. Str. 128. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 1.20.

ŁOPIEŃSKI Z.: Uwagi o polityce gospodarczej w Polsce. 8°. Str. 46. Warszawa, 1934. Skł. Dom Książki Polskiej. Zł. .150.

MACHNIEWICZ ST.: W grobowcu Tut - Anch - Amona. 8°. Str. 71. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.90.

ROMER E.: Mały Atlas geograficzny. Wyd. 12-te. 4°. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 1.90.

SIECZKA FRANCISZEK Ks. Dr.: Ćwiczenia matematyczne do rozwiązywania ustnego dla kl. II gimn. Algebra. 8°. Str. 41. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.70.

SIERZPUTOWSKI T. i KŁEBANOWSKI S.: Rachunki dla kl. II szkoły pow. Wyd. 2-gie zmienione. 8°. Str. 100. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.90.

SPIRAGO Fr. Ks.: Zbiór przykładów do nauki katechizmu dla duszpasterzy i wiernych. Przełoż. Dr. C. L. 8°. Str. VIII i 518. Wyd. 2. Mikołów, 1934. K. Miarka. Opr. Zł. 6.50.

STYŚ W.: Rozdrabnianie gruntów chłopskich w byłym zaborze austrjackim od r. 1787 do 1931. 8°. Str. III i 362. Lwów, 1934. Gubrynowicz i Syn. Zł. 11.